

MUSICA MUNDA

MUSICA MUNDA

Małgorzata Wieczorek

Jeśli szukasz książki, która pozwoli oderwać się od szarej rzeczywistości, wybierz powieść „Musica mundana” . Od pierwszych zdań porwie cię świat przygód utalentowanego rockowego wokalisty który musi ratować nie tylko siostrę, ale i nas wszystkich. Autorka, Małgorzata Wieczorek, genialnie połączyła wątki i postacie ze świata fantastyki z polskimi legendami i bardzo dobrze zgłębioną wiedzą o muzyce rockowej jak i klasycznej. Nie możemy się doczekać kolejnych książek z tego cyklu!

Dr. Ivona Kaminska

Seattle International Piano Festival and Competition

Copyright © Małgorzata Wieczorek
Wydanie I
Warszawa 2022

K R W A W A S O T N I A





1. Noir et Blanc

Coś poszło źle. Od godziny powinni być w oazie wylegiwać się na pryzkach, oglądając nad sobą wojskową zieleń płótna, siedzieli zamiast tego na tylnej kanapie Land Rovera ze wzrokiem wbitym w pustynię lub widoczną w lusterku posiniaczoną twarz tuareskiego kierowcy.

W przypadku Blanki zarówno kierowca jak i pustynia marnie się sprawdzały jako zabójcy nudy, przeniosła więc spojrzenie na brata. Przekrwione oczy mężczyzny patrzyły dosyć bezmyślnie na piasek i kamienie przesuwające się za szybą samochodu. Była gotowa założyć się, że niewiele docierało do niego z krajobrazu, dosyć monotonnego, chociaż malowniczo oświetlonego przez ostatnie promienie niksącego za horyzontem słońca. Gębę brata zazwyczaj przecinał zadowolony uśmiech tępego pawiana, lecz uznała, że obecny grymas był wyłącznie tępy, bo całe samozadowolenie pochłonął męczący Nora kac. Z katzenjammerem na pustynię, to coś nowego,

pomyślała Blanka. Sądziła, że przyzwyczała się do wyskoków starszego o dziesięć lat brata, ale jak widać zawsze znalazł sposób, żeby ją zaskoczyć. Przysięgłaby również, że wprawdzie umył jasną czuprynę i brodę, ale koszulka Iron Maiden miała chyba z dziesięć lat i już od dawna nie była świeża.

W ostatniej chwili ugryzła się w język, stwierdziła, że nie skomentuje niechlujstwa, będzie litościwa, nawet jeżeli sam zapracował na złe samopoczucie, okaże mu odrobinę współczucia. Czasami myślała, że wytrzyma z nim wyłącznie dlatego, że był bratem, nawet jeśli adopcyjnym, to bratem.

- Mieliśmy już dawno dotrzeć do oazy - odezwała się. Podskórny niepokój zmusił ją do powiedzenia na głos czegoś, co pracownicy omijała myślami.

- Musieliśmy zabłądzić i zobaczysz, w końcu czeka nas nocleg pod gołym niebem.

Bez odwracania głowy wyciągnął ciężką dłoń i rozczochrał jej włosy. Zirytowana odsunęła długie, brązowe kosmyki sprzed ciemnych oczu.

- Smarkulo, tutaj nie ma wielkich drapieżników. Nic ciebie nie zje. Poza tym na takie chuchro nic się nie połakomi. - W profesjonalnym, modulowanym głosie wokalisty pobrzmiwało wkurzające Blankę rozbawienie, przebijające się przez lekką chrypkę przepicia. Brat śpiewał i grał na basie, utrzymywał się z tego od pewnego czasu tak doskonale, że już nie musiał dorabiać jako barman. Zdaniem siostry od momentu poprawy losu sodowa ostatecznie uderzyła Norbertowi do głowy i stał się nieznośny ze swoją satanistyczną pozą. Z drugiej strony chętnie podebrałaby mu któreś z jego sygnetów, gdyby nie były za duże.

- Wystarczy skorpion - odpowiedziała. - Wątpię, by mieli odpowiednie antidotum. Poza tym nie prześpiemy się wygodnie w samochodzie.

Wskazała ręką na siedzącego przed nimi kierowcę. - Chyba że on będzie spał na zewnątrz.

Nor odwrócił do niej twarz. W zapadającym mroku nie widziała wyraźnie oczu, ale wiedziała, że uszkodzenie nerwu spowodowało, że prawa źrenica była stale rozszerzona, co stanowiło pewną niedogodność w ostrym algierskim słońcu. Oberwał w oko, stając w jej obronie, gdy dwóch łobuzów postanowiło zaczepić przedszkolaka, więc stale pilnowała, by w ciągu dnia nosił przyciemniane okulary. Odruchowo sprawdziła, że nadal wisiały zaczepione na koszulce z Eddiem.

- Spokojnie, niech oni myślą. Wyluzuj. Na wakacjach jesteś. Mamy czas.

- Zapytaj go, ile jeszcze czasu będziemy jechać - poprosiła zniecierpliwiona.

- Sama zapytaj!

- Wiesz, że nie mówię po francusku.

- Było się uczyć. Ojciec mówi doskonale po francusku.

Parsknęła ze złością. Podobny dialog pełen oczywistości odgrywali regularnie już od lat. Nor zawsze w podobny sposób się z nią droczył i powinno już być oczywiste, że nie zachęciło jej to do nauki francuskiego wcześniej, nie zachęci w przyszłości.

- Ciebie uczył, mnie nie. Poza tym pamiętasz jeszcze Algierię, chodziłeś tu do szkoły. Ja się tutaj tylko urodziłam. I wiesz dobrze, że w szkole zawsze miałam angielski.

- Było wybrać inne liceum. Chodziłaś, do takiego jakie sobie znalazłaś.

- Wolałam angielski!

Pochyliła się bliżej kierowcy i już zbierała myśli, by zadać pytanie po angielsku, gdy powietrze przeszło przerywane trąbienie. Land rovery jeden po drugim włączyły światła hamowania i karawana stanęła bez ruchu, a radio CB wypełniło się trzaskami i harmidrem podekscytowanych głosów. Tuaregowie powychodzili z samochodów i zebrali się w połowie kolumny. Stanęli w półkolu, pięciu razem z przewodnikiem i zaczęli o czymś dyskutować.

- A to mi się nie podoba - stwierdził Nor.

- A widzisz!

Zanim skończyła mówić, wyskoczył z samochodu.

- Zostań tu! Ani się rusz! - warknął i zatrzasnął drzwi.

Bez słowa opadła na kanapę.

Nor wysiadając z samochodu, pozbył się obojętnego wyrazu twarzy utrzymywanego głównie na użytek Blanki. W formie był też lepszej, niż siostra uważała, nie wypił z Marcelem, poznanym w hotelu Francuzem aż tyle, by męczył go prawdziwy kac, bardziej dokuczał mu brak snu. Alkoholowym nadużyciem posłużył się jako wymówką, wolał nie brać udziału w dywagacjach smarkuli, najpierw co musiałyby się stać, żeby brat pogodził się z byłą dziewczyną, a potem co się stało i czy zablądzi. Znał kraj dostatecznie dobrze, by czuć się tu dosyć bezpiecznie, lecz wiele zmieniło się w ciągu ostatniego dwudziestolecia i zaczął dochodzić do wniosku, że wspomnienia dziecka mają się nijak do zastanej rzeczywistości. Niemalże od chwili opuszczenia samolotu na lotnisku żałował, że nie zostali

w Warszawie, chociaż to on zatęsknił za wędrówką po pustyni.

Teraz wyraźniej widział kształty wcześniej ledwo widoczne za szybą samochodu. Jeżeli on je widział, to widziała też Blanka, ale miał nadzieję, że nie zauważyła, że zamiast kolejnej dziwnej formacji skalnej widać wywróconą terenówkę, nie najnowszą i zakurzoną, o liniach zniekształconych przez ogień. Podeszedł na tyle blisko, że dojrzał nadpalone ciała, usadowione jak szmaciane lalki oparte o podwozie. Poczł smród spalenizny i czym prędzej zawrócił.

Marcel i jego żona znaleźli się już przy Muhammedzie, dowodzącym karawaniarzami, wysokim mężczyźnie, wyjątkowo ciemnym nawet jak na Tuarega, o twarzy przeciętej dwiema równoległymi bliznami, który stał w wianuszku swoich ludzi i coś głośno tłumaczył, gwałtownie przy tym gestykulując. Pozostali turyści wysiadali z samochodów i kierowali się w stronę przewodników. Nor podeszedł do francuskiej pary. Tuaregowie zaczęli rozmawiać między sobą, zupełnie ignorując turystów.

- Co się dzieje? - Nor zagadnął Francuza.

Marcel z niezadowoleniem pokręcił głową i wyduł usta.

- Zupełnie nie mogę się z nim dogadać. Twierdzi, że GPS źle działa, wskazania wyprowadziły nas w głąb pustyni. Nie mamy rady dotrzeć do oazy. Jesteśmy tak daleko na pustyni, że nie mamy zasięgu. Nikt nie ma.

- Mieli mieć telefon satelitarny, upewniłem się przed wyjazdem - odpowiedział Nor. - Mają też radia. Nie zabrałbym siostry na pustynię bez możliwości kontaktu.

Marcel spojrział na żonę. Eva, blondynka pozbawiona makijażu poza krwistoczerwoną pomadką

na ustach, zagryzała wargę i rozglądała się z niepokojem. Była niesamowicie szczupła i pomarszczona, przypominała wyschnięty kawałek drewna i cieszyła się niegasnącą adoracją męża.

- I jeszcze te ataki na turystów - powiedziała. - Zaczynam się naprawdę martwić. Możliwe, że nie trzeba było przyjeżdżać w ogóle.

Nor pokiwał głową. Wraz z Marcelem pili w hotelowym barze właśnie pod wiadomości o ofiarach terrorystów i namówił wtedy Francuza na dołączenie do pustynnej wyprawy. Miało tu nie być niebezpieczeństw, terroryzm miał pozostać w mieście.

- Porozmawiam z Muhammedem - oświadczył Nor. - Zobaczę, co uda mi się z niego wyciągnąć.

Nor podszedł do Tuaregów. Jeszcze kupując wycieczkę opowiedział pracownicy biura niemalże całą historię swojego algierskiego życia i wiadomość o kilku latach spędzonych w stolicy musiała dotrzeć do przewodników. Sami go zaczepili i wymienił z nimi kilka grzecznych frazesów po arabsku, które jakimś cudem zachował w pamięci. Stugębna plotka zadziałała na jego korzyść i chociaż w jakiejś części został uznany za swego.

- Muhammed - zaczął. - Przyjacielu, to trzeba zgłosić. - Wskazał ręką na spaloną terenówkę.

Przewodnik energicznie potwierdził, że tak zrobił. - Wypadek, to musiała być straszny wypadek - dodał.

- Powiedz, co się dzieje. Co mam powiedzieć siostrze? Czy czeka nas nocleg na pustyni? - Nor był poważnie wkurzony, przede wszystkim milczeniem przewodników, ale wiedział, że w kontaktach z nimi należy zachować spokój. - Gdzie jesteśmy?

Przewodnik złapał go za ramię i pociągnął za sobą. Odwrócił się do Nora, gdy odeszli na odległość słuchu.

- Nie możemy jechać do oazy - padła odpowiedź.
- Berberowie zostali zaatakowani. Nie wiadomo dokładnie, co się stało. Informowali o rannych i zabitych. Wojsko wkroczyło do osady. Nawigacja zaczęła szaleć we wszystkich samochodach. Błąd oprogramowania. Dlatego zablądziliśmy, ale okazało się to być dla nas szczęśliwym zrzędzeniem. Dobrze, że nie dojechalśmy do oazy. Nowe miejsce nie jest zbyt daleko i zgodzili się już nas przyjąć. Możliwe, że to nawet lepsze schronienie, ochroni nas przed złymi duchami. To siedlisko raqi. Zaraz wyruszymy.

- Raqi? Spotkałem kiedyś jedną raqi, kiedy byłem dzieckiem - powiedział Nor. - W duchy ani magiczne kobiety nie wierzę, ale nocleg z chęcią przyjmę.

Nor wrócił do Francuzów i opowiedział, co się dowiedział o ataku na oazę i dokąd teraz jadą.

- Nam powiedzieli tylko, że znaleźli inny nocleg - skomentował Marcel. - Masz u nich chody.

- Mam tylko nadzieję, że nie koloryzował, żeby ukryć, że nadal nie wie, gdzie jesteśmy. Nie powiem Blance o zabitych. Wy też nie mówcie - zakończył Nor rozmowę. - Źle sypia, gdy czymś się zdenerwuje.

Turyści rozeszli się do samochodów. Po całym dniu wędrówki wszystkie pokrywała warstwa pyłu, przetartego na szybach przez wycieraczki w łuki skrzydeł.

Blanka odprowadziła Nora wzrokiem, w dzinsach i podkoszulku wyglądał jak każdy inny chłopak. Na występy zakładał długą czarną perukę, a twarz pokrywał corpse paint, więc ścinał włosy, jak mu było

najwygodniej, z reguły nie były dłuższe niż do ramion, chociaż i tak wywołał entuzjazm dwóch algierskich krypto metali. Z krótkiej rozmowy na ulicy Nor dowiedział się prawie wszystkiego o podziemnej scenie muzycznej. Blanka stała obok jak zwykle podziwiając umiejętność jej brata znalezienia kumpli pod każdą szerokością geograficzną. Widziała, jak włączył się do rozmowy Marcela i Ewy, by po chwili odejść na bok z przewodnikiem. W końcu ruszył w kierunku Land Rovera.

- W pierwszym samochodzie padł GPS i sądzą, że minęli oazę, nie widząc jej zza skał. - powiedział, siadając koło Blanki. - Widać było ślady opon prowadzących głównie w tę stronę, zmyliło to prowadzącego, myślał, że dobrze jedzie.

- Zawracamy? - Wyglądała przez okno, śledząc wzrokiem ostatnich przewodników sprawdzających, czy wszyscy wsiedli.

Pokręcił głową.

- Nie przyjmą nas o tej porze. Pytali przez radio. Zanim dotrzemy zamkną bramę.

- Serio? Nie zrobią wyjątku dla nas? - Zmarszczyła nos z niezadowoleniem. - Nie jest jeszcze późno, nie możemy spać tu, na środku pustyni.

- Mówią, że takie tu zwyczaje. Ale możemy zanocować u raqi. Będzie ci się podobało.

- Kto to?

Wyszczerył w szerokim uśmiechu zęby i Blanka rozpoznała cień znajomego samozadowolenia.

- Wiedźma - odpowiedział. - Najprawdziwsza wiedźma.

- Żartujesz. - Była gotowa się roześmiać, ale zorientowała się, że mówi poważnie.

- Serio. Raqi to wiedźma, nie ma powodu ubierać tego w inne słowa. Ruqya to określenie na jej zajęcie. To określenie obejmuje wszystko, od znachorstwa przez egzorcyzmy do czystej magii. Oczywiście, z reguły raqi bywają mężczyźni, kobiety dżinom nie dają rady, jesteście za słabe, zbyt ułomne. Obraziliby się też za wiedźmę, bo wszystko odbywa się oczywiście w imię Allacha. Matka była u raqi zanim zaszła w ciążę i ciebie urodziła. Mówię ci, znachorka okazała się lepsza od in vitro i całej medycyny zachodu. Zupełnie nie wiem, po co te całe badania naukowe. Wystarczyło wypędzić złego dżina. Shayateen go nazwała. Szejtan.

Prawie dała się nabrać się na jego poważny ton, zapadała noc na pustyni i byli w obcym miejscu, ale się zaśmiał i aura tajemniczości się rozwiała.

- A tak naprawdę zbieg okoliczności i silna sugestia - powiedział. - Nic więcej.

- Nigdy nie jestem pewna, kiedy żartujesz sobie, a kiedy mówisz poważnie.

- Nie przypuszczałem, że możesz wierzyć w czary. - Z komicznym wyrazem twarzy rozłożył ręce, demonstrując bezradność. - Może jednak powinnaś pojechać do rodziców. Mieszkanie z zabobonną babcią najwyraźniej ci nie służy.

- Nie chcę zmieniać szkoły. - Nor przejawiał małą zdolność do asymilowania się i w każdym kraju już po tygodniu miał zgraną paczkę kumpli, ona dla odmiany nie cierpiała przenosin rodziny z powodu kolejnych placówek, lub - jak ostatnio - oddziałów firmy.

Kierowca wrócił do samochodu, uruchomił silnik i zaraz po ruszeniu ostro skręcił w prawo. Jadący przed nimi samochód wzbił oponami chmurę rudego pyłu, w którą wjechał ich Land Rover. Samochody zwiąkszyły

odległość, karawana rozciągnęła się na kilkaset metrów, żeby uniknąć wpadania w obłoki kurzu. Zostawili zwietrzałe skały za sobą, reflektory rozświetlały ślady kół na ubitej ziemi. Daleko z boku, gdzie zaczynał się mrok nocy, przebiegły dwa fenki, charakterystyczne wielkie uszy zdrząły na małych łebkach i lisy zniknęły z tyłu.

Ściemniło już do reszty, księżyc nadal tkwił poniżej horyzontu i land rovery sunęły w wąskim pasie rdzawej pustyni, ograniczonym po bokach czernią, czasami tylko blask padał na skaliste wzniesienia, ale te szybko znikwały z tyłu.

Po dwóch godzinach dojechali do pierwszych palm, światło odbiło się od szarych pni i zatańczyły cienie smukłych liści na piasku. Reflektory wydobyły z mroku złotawe mury rotundy i pomalowaną na czerwono bramę, krwawe wrota zaczęły się przed nimi otwierać. Bez zatrzymywania się wjechali do środka.

Po kilkunastu metrach dotarli na okrągłe, niezadaszone patio, gdzie mrok rozprasał ogień pochodni wbitych w ziemię pomiędzy palmami. Pierwszy samochód zatrzymał się nieopodal wielkiej studni, której kołowrót poskrzypywał lekko, jeszcze rozkołysany po niedawnym użyciu. Dwóch spalonych słońcem Berberów przyglądało im się z uwagą, cebry z wodą postawili przy stopach, spierzchnięta ziemia piła rozlaną wodę. Wymienili po cichu kilka uwag.

Zamilkli, gdy z wnętrza rotundy wyszła kobieta. Miała ciemnobrązowe włosy o ciepłym połysku i szarozielone oczy. Była młoda, niewiele starsza od Blanki i w innym świecie byłaby pewnie uczennicą w jakimś mieście. Wypowiedziała kilka słów po arabsku brzmiących jak reprimenda i mężczyźni zniknęli wewnątrz budowli zabierając ze sobą wodę.

- Nazywam się Farida - powiedziała po angielsku. Miała silny francuski akcent. - Pokażę wam wasze pokoje. Nikt nie spodziewał się tylu gości i warunki są dosyć ascetyczne. Ale będziecie mogli się przespać, odpocząć i jutro ruszyć w drogę. Obudzę was rano.

Nie było ich wielu, więc każdy z gości się przedstawił i powiedział parę słów, skąd przybywają. Zaczęli Marcel i Eva, po nich para Portugalczyków, trójka Holendrów i dwóch algierskich braci. Na koniec Nor z siostrą. Dziewczyna słuchała z zainteresowaniem.

Weszli za nią do środka. Korytarz zataczał krąg, naśladowując bieg zewnętrznej ściany. Kroki tłumiły ściśle tkane dywany, trochę już przytarte i przyblakłe, ale ich przyszarzałe pomarańcze i czerwienie nadal ciekawie kontrastowały z turkusem ścian, ozdobionych ażurowym cieniem rzucanym przez złote lampy. W powietrzu unosił się przytłumiony zapach sandałowca i cynamonu.

- Jak pałac z *Tysiąca i jednej nocy* - wyszeptała Blanka. Rozglądała się na wszystkie strony. Hotel w Algierze, z którym porównywała otoczenie, równie dobrze mógłby się znajdować w dowolnym kraju, dokładnie powielał estetykę hotelowej sieci, na całym świecie serwującej podróżnym idealnie powtarzalną ofertę. Stanowił bezpieczne, przewidywalne otoczenie i jednocześnie odcinał od lokalnego kolorytu, wypełniając dokładnie oczekiwania pewnej kategorii gości. Blanka uznała, że nie należy do tej grupy.

- Uważaj, bo porwie ciebie dżin - odpowiedział poważnym tonem Nor. - Wystrzegaj się szczególnie paskowych diabłów. W gorący dzień można zobaczyć, jak kręca bicz z piasku. Dokładnie widać wiry powietrza podnoszące pył.

- Znowu żartujesz sobie ze mnie! - roześmiała się.

- Jakbym śmiał. A co twoim zdaniem dzieje się, gdy widzisz taki wir? Masz lepsze wyjaśnienie?

Blanka próbowała przypomnieć sobie coś z fizyki.

- Ciepłe powietrze podnosi się do góry - odpowiedziała. - Duże wiry w przyrodzie też powstają z różnicy temperatur i ciśnienia.

- No, nie wiem, nie wiem. - Nor kręcił głową z komiczną przesadą. - Ja bym uważał.

Farida wskazywała turystom ich pokoje, aż w końcu przyszła kolej na Blankę i Nora. Przypadł im pomalowany na pomarańczowo pokój z prostymi łózkami i oknem wychodzącym na korytarz. Nor czym prędzej zasunął haftowaną chustę, która służyła za zasłonkę, a Blanka rzuciła na przykrytą kilimem ławę swój plecak i położyła się na łóżku.

Po chwili Farida przyszła ponownie, tym razem z tacą pełną jedzenia. Postawiła ją na stoliku i z torby przewieszanej przez ramię wyjęła dwie butelki wody i podała rodzeństwu. Blanka sięgnęła po kawałek płaskiego chleba i zaczęła nabierać pastę z fasoli posypaną hojnie zatarem i polaną oliwą.

- Co to jest za miejsce? - zapytał Nor. - Często miewacie gości?

- Dosyć często - odpowiedziała dziewczyna. - Moja przybrana matka Nadira jest świętą kobietą. Jej modlitwa ma moc uzdrawiającą. Jeżeli komuś coś dolega, wyleczy, nie spodziewa się niczego prócz drobnej ofiary. Przyjmuje rano, będzie czekać, jeśli zechcecie skorzystać z jej pomocy. Jesteśmy chrześcijankami - wyjaśniła. - W tym kraju nie należy się z tym obnosić, ale wam mogę powiedzieć. Przybywacie oboje z chrześcijańskiego kraju.

Zatem nie był to wyłącznie zajazd dla turystów zwiedzających pustynię, Nadira oferowała dodatkowe usługi znachorki, stąd miano raqi. Blanka z wrażenia przestała jeść i z fascynacją przeniosła wzrok na brata, czekając co powie. Nor uśmiechnął się swoim szczerym, szerokim uśmiechem.

- Nasz kraj nie jest chrześcijański - zaprotestował.
- Jest świecki, a ja jestem ateistą. I nie wierzę, że twoja matka, młoda damo, kogokolwiek uleczyła. Cynicznie żeruje na ludzkiej łatwowierności, albo jest na tyle zaburzona psychicznie, że sama w to wierzy. Prawdopodobnie obie te rzeczy na raz. A ty nie powinnaś u niej terminować, tylko uczyć się jakiegoś uczciwego fachu.

Blanka z rozbawieniem obserwowwała, jak twarz Faridy blednie, a jej oczy po raz pierwszy zauważają sylwetkę Eddiego na koszulce Nora i przenosi wzrok na jego sygnety.

- Będę się modlić za twoją duszę i nawrócenie - powiedziała Farida.

- Naprawdę nie trzeba - odpowiedział Nor. - Ale dziękuję za dobre chęci, nawet jeśli zupełnie pomyłone.

Skinęła z godnością głową, zabrała opróżnioną tacę i wyszła z pokoju.

- Cholerna naganiaczka - warknął Nor. Po szerokim uśmiechu już nie było śladu. - Trzeba takim z miejsca mówić, co się myśli. Może odzyskają trochę poczucia realności.

Po jakimś czasie Blankę dobiegło ciche pochrapywanie brata. Przewracała się na łóżku, układała się na różne sposoby, ale nie mogła zasnąć. Nor i ojciec zawsze zasypiali bez problemu, ona i mama często się męczyły. Po pół godzinie nieudanych prób zaśnięcia wstała, założyła dzinsy, koszulkę i wsunęła

trampki. Ostrożnie otworzyła drzwi i wyslizgnęła się na korytarz, a potem na zewnątrz.

Wyszedł księżyc i jego słabe światło oświetlało patio. Nic nie zakłócało ciszy. Szła wzdłuż ściany, mijając kolejne okna zasłonięte chustami wyszywanymi w roślinne motywy. Nie zamierzała odejść daleko, Nor wbijał jej do głowy, że nie powinna czuć się zbyt swobodnie poza dużymi hotelami, gdzie personel przechodził odpowiednie przeszkolenie w kontaktach z turystami.

Zauważyła poruszenie w cieniu pod ścianą i serce podskoczyło jej do gardła, w nocy zaczynała się bać wytworów wyobraźni, była gotowa zawrócić w miejscu i pognać czym prędzej do pokoju. Usłyszała kobiecy głos, spojrzała ponownie i wśród cieni rozpoznała Faridę.

- Musimy porozmawiać - oświadczyła gospodyni. Kilkoma krokami pokonała dzielący ich dystans i złapała Blankę za rękę. - Ton frère est Noir, tu es Blanc. Twój brat ma w sobie krew demona, jedno oko czarne, drugie błękitne. A na palcach pierścienie z podobiznami demonów.

- To nie jest krew demona - zaczęła tłumaczyć Blanka, ale się zawahała niepewna jak po angielsku wytłumaczyć, że to nie barwa tęczy, tylko uszkodzenie nerwu odpowiedzialnego za zwięźanie żrenicy.

- Ton frère est Noir, tu es Blanc - powtórzyła z naciskiem Farida. W jej oczach Blanka widziała ogień i milczące, graniczące z szaleństwem naleganie, aby przytaknęła, ale mogła jedynie patrzeć na młodą gospodynię bezradnie. W końcu pokręciła głową, wyrwała rękę i odeszła. Ogarnęło ją przerażenie wywołane kontaktem z osobą przebywającą

w odmiennej rzeczywistości wykreowanej w dużej części przez brak edukacji lub nawet urojenia.

Blanka zaczęła iść przez dziedziniec. Rzuciła spojrzenie w stronę studni i uznała, że dla odmiany teraz ją zaczyna ponosić wyobraźnia. Dookoła górnego kręgu, przy samym jej brzegu widziała poświatę i na granicy słuchu jakąś wyśpiewywaną melodię. Zrobiła krok w stronę studni, ale zatrzymała się, słysząc łopot skrzydeł. Spojrzała do góry, próbując dojrzeć, jak sądziła, nietoperza, ale kątem oka dostrzegła jakiś ruch, coś o wiele większego od nietoperza zanurkowało, błyskawicznie zaatakowało ofiarę na ziemi. Blanka usłyszała tylko napelniający przerażeniem skrzek i wszystko zamilkło.

Odwróciła się na pięcie, wystartowała biegiem i dopadła drzwi ich pokoju. Zatrzasnęła je za sobą, przekręciła klucz i oparła się plecami. Dotyk drewna trochę ją uspokoił. Przez sekundę korciło ją, by ponownie wyrzucić na dziedziniec, ale zdecydowała, że woli pozostawić innym sprawdzenie, co spowodowało nocny tumult. Na pustyni musieli polować jacyś skrzydlaci drapieżcy, ale wołała nie upewniać się do jakiego gatunku się zalicza ten konkretny.

- Przez następne dziesięć lat wszystkie wakacje spędzam w Polsce - powiedziała na głos. Stała czekając aż wyrówna jej się oddech, a serce przestanie wybijać zwariowany rytm, który, jak czuła, wydobywał się nie tylko z klatki piersiowej, ale też z naczyń krwionośnych na skroniach.

Zaczęła się uspokajać, tętno opadło, gdy znowu usłyszała zza drzwi wrzask jakiejś ofiary, tym razem dźwięk brzmiał jak obdzierany ze skóry kot. Krzyk umilkł gwałtownie i wtedy już nie potrafiła opanować paniki.

Dopadła łóżka Nora. W pokoju było dosyć duszno, więc Nor skopał z siebie koc. Spał w samych gatkach i koszulce. Z reguły wolno się budził i długo trwało zanim odzyskał pełnię władz umysłowych.

- Nor, wstawaj! - Uklękła przy łóżku i zaczęła nim potrząsać. - Obudź się! Boję się!

Nor zaczął coś mamrotać i potarł oczy. Skoncentrował na niej nie do końca rozumny wzrok.

- A ty dlaczego nie śpisz, smarkulo? - Jęknął i ponownie się położył. Patrzył w sufit, próbując odzyskać przytomność. - I jesteś ubrana. Gdzie łażyłaś po nocy? To nie jest kraj, w którym nastolatkom wolno oddalać się od brata. Mówiłem, że nigdzie sama nie chodzisz.

Usiadł i sięgnął po butelkę wody stojącą na podłodze. Blanka obserwowała, jak pił, zastanawiając się, jak bardzo jest zły, że obudziła go bez powodu. Odsunął butelkę od ust i popatrzył na nią przytomniej.

- Wyszłam tylko na dziedziniec. Na minutkę - powiedziała. - Nigdzie dalej nie odchodziłam.

- I tak za daleko - skomentował i pociągnął łyk z butelki.

- Rozmawiałam przez chwilę z Faridą. Jest zupełnie pomyłona.

- Mówiłem! - W głosie Nora usłyszała satysfakcję.

- Oni wszyscy mają nie po kolei w głowie.

- Twierdzi, że masz w sobie krew demona.

Nor uśmiechnął się szeroko.

- Dobrze się zaczyna - skomentował. - Bardzo żałuję, że rano wyjeżdżamy. Chętnie bym sobie jeszcze z nią porozmawiał na ten temat. I dlatego mnie obudziłaś?

- Nie! - Blanka energicznie pokręciła głową. - Tutaj jest coś dziwnego. Jakieś stworzenie poluje,

słyszałam hałasy. I coś się dzieje ze studnią. Widziałam lunę. I jakby ktoś cicho śpiewał. – Dostrzegła w jego wzroku powątpiewanie i zdała sobie sprawę, że nie wierzy, zbyt często sobie opowiadali wymyślone historie i robili sobie żarty.

Wyciągnął rękę po dzinsy leżące na podłodze.

– Masz rozmach – roześmiał się cicho. – Niech ci będzie, dałem się nabrać. Wyjdę i zobaczę, co się dzieje.

Założył spodnie i wsunął trampki na gołe stopy, nie kłopotał się zawiązywaniem. Wyszli na korytarz.

Zbliżyli się do wyjścia, gdy coś uderzyło w drzwi z impetem, rozległ się odgłos darte go drewna. Z twarzy Nora znikł uśmiešek, spoważniał i zaczął nasłuchiwać. Z daleka dobiegł dziwny dźwięk, zaczynał się jak krzyk orła, zakończył rykiem lwa.

– Ktoś połączył dwa nagrania – skomentował Nor.
– Głupie żarty z łatwowiernych i ogłupianie ludzi. Przerażonych łatwiej skubać.

Blanka doszła do wniosku, że sam był przerażony i nadrabiał miną. Wycie dzikiego stworzenia może i było nagraniem, jak uspakajająco tłumaczył siostrze, ale uderzenie w drzwi było realne, aż za bardzo.

Nor wyszedł na zewnątrz. Blanka dołączyła do niego i zza jego pleców próbowała zobaczyć, co było powodem hałasów na dziedzińcu. Kątem oka zauważyła szerokie szramy, ślady na drzwiach wyrzute grubymi pazurami.

– O, ja pierdołę – powiedział Nor. – Kurewska kraina Oz. Latająca małpa.

Blanka zmrużyła oczy, by lepiej widzieć. Niewiele było światła, ale księżyc nadal świecił ponad dachem i wydawało jej się, że lepiej rozpoznaje kształt stworzenia, składającego się z części ciał innych zwierząt.

- Wygląda bardziej na lwa niż na małpę - powiedziała. - Popatrz na tylne łapy. I ma skrzydła orła.

- Aha, masz rację. Mantykora, jak w pysk strzelił. Ciekawe jak to zrobili?

Stworzenie, które wywołało tę reakcję, właśnie kończyło zataczać krąg ponad dachem rotundy i po chwili zaczęło nawrót i ponownie skierowało się w ich stronę.

- Nor, chyba lepiej zamknąć te drzwi.

Brat stał jak zaczarowany, ignorując prośbę Blanki.

W korytarzu zaraz niedaleko ich pokoju rozległ się jakiś hałas, a potem usłyszeli, jak Marcel polecił Evie zostać w pokoju i nie wychodzić. Trzasnęły drzwi i zazgrzytał przekręcany klucz.

Nor nadal tkwił w drzwiach jak zamurowany, nie zwracając uwagi na ponaglenia Blanki. Lecząca mantykora wydała z siebie serię krzyków różnej wysokości, tym razem z orłem zmieszany był głos ludzki.

- O, kurwa, nie, tylko nie tryton - wyszeptał Nor.
- Trzy całe tony. Tak nie będziesz śpiewać.

Mantykora wyrównała lot i pikowała wprost na jego twarz, wysuwając przed siebie szpony. Wydała z siebie tak przeraźliwy wrzask, że Blanka z przerażenia cofnęła się, potknęła i upadła na zadek. Usłyszała jędrne „Merde” i kolejne drzwi się się zatrzasnęły. Była przekonana, że za chwilę twarz Nora zostanie już rozszarpana, gdy jej brat, zupełnie niespodziewanie, wyśpiewał z całą wściekłością sekstę małą. Zagłuszył krzyk potwora, który dosłownie zawisł w powietrzu, z przerażeniem i nagłym zrozumieniem patrząc w twarz Nora, by w końcu niespodziewanie zwalić się

na ziemię. Ciałem mantykory zaczęły wstrząsać agonalne drgawki.

Muzyk patrzył w osłupieniu na ciało skrzydlatej bestii.

- Zareagowałem odruchowo - powiedział. - Sam nie wiem, dlaczego zacząłem się przekrzykiwać. Mi contra fa diabolus in musica est. Diabelskich interwałów nie będę tolerował. Zupełnie nie wiem dlaczego. - Uśmiechnął się szeroko. - To z *Gradus ad Parnassum*, rozprawy o muzyce z osiemnastego wieku, chociaż wieki wcześniej organista mógł być wyniesiony na kopach z kościoła za zagranie czegoś takiego. Szkoła muzyczna na coś mi się przydała. - Klasycznie wykształceni muzycy nieczęsto grali metal, więc Nor z reguły nie lubił się przyznawać się do szkoły muzycznej i rozpoczętych studiów na wydziale wokalnym.

Dziewczyna podniosła się z podłogi.

- Na pewno nie żyje?

- Dysonansowa mantykora? Mam nadzieję.

Jeśli krzyki stworzenia obudziły kogoś poza Marcelem i Evą, turyści postanowili nie wystawiać nosów ze swoich pokojów. Podobnie nikt z Tuaregów czy Berberów nie wyszedł z budynku.

- Sprawdzę teren - powiedział Nor i wyszedł z budynku.

Stworzenie okazało się być o wiele mniej martwe, niż się spodziewali. Poruszyło się, podniosło i potrząsnęło łbem. Blanka chciała krzyczeć, ale miała sparaliżowaną krtań z przerażenia. Z przerażeniem nabierała powietrza i wydawała astmatyczne świsty. W końcu udało jej się wydobyć z siebie nikły szep, cień krzyku. Spróbowała jeszcze raz, gdy mantykora już wzbijała się w powietrze.

- Nor, uważaj!!!

Nie wiedziała, czy usłyszał jej głos, wybiegła za stworzeniem z rotundy. Nor stał zapatrzony w studnię, twarz oświetlała mu luna bijąca ze środka, ręce zaciskał na obramowaniu. W panice zastanawiała się, co może zrobić, ale było już za późno. Nie wiedziała, czy Nor miał szansę zareagować, czy zrozumiał dopiero w ostatniej chwili.

Mantykora dopadła go, sunąc w powietrzu jak latawiec, cicho bez poruszania skrzydłami. Uderzenie silnego skrzydła podcięło mu nogi, ciężkie ciało uderzyło go w plecy. Zaczął spadać i nic już nie mogło zatrzymać tego ruchu do środka studni, stracił równowagę od razu, tak silne było uderzenie skrzydła mantykory. Wściekły ryk Nora odbił się od ścian studni, wzbudzając echo.

Światło w studni zgasło, a śpiew zamilkł.

2. Eryk i Nor

Poczuł uderzenie ud o brzeg cembrowiny i zaczął walczyć o odzyskanie równowagi. Przez cienką koszulkę czuł wbijające się pazury stworzenia, ostre i grube. Wbiły się głęboko, aż ciepła wilgoć krwi spłynęła po plecach. Sięgnął do tyłu, próbował zepchnąć ze swoich pleców napastnika, ale ciężar go przeważył i zaczęli się zsuwać. Złapał się brzegu studni, szorstkiego betonu wymieszanego z kawałkami drewna, chciał zmienić palce w mocne szpony, zahamować upadek. Zawył, gdy drzazgi wbiły się pod paznokcie i parzący ból zmusił do cofnięcia ręki. Spróbował ponownie złapać, na pamięć machnął rękoma, czegoś dotknął. Przez ułamek sekundy myślał, że odzyska panowanie nad ciałem, władzę nad jego położeniem w przestrzeni, ale mantykora szybko podciągnęła się na pazurach wbitych w jego barki, cuchnący oddech przesunął się po jego szyi, dotarł do nozdrzy, a gwałtowny ruch zmienił punkt ciężkości. Runęli w dół, w głąb studni.

Jego ciało spodziewało się uderzenia w wodę, odruchowo nabrał powietrza i napiął mięśnie, ale nic się nie wydarzyło. Wypuścił zbyt długo trzymane w płucach powietrze, ostrożnie, przygotowany, że

jednak może spotkać się z wodą, ale nadal takie samo nic. Otworzył oczy i próbował rozejrzeć się.

Nic.

Nawet ponad sobą nie widział nieba, ani blasku gwiazd czy księżyca. Nie było nic poza miażdżącym uściskiem mentykory i wbitymi pazurami.

Lecieli w pustce.

Przypomniawszy sobie, jak chował się w starej, pachnącej drzewem sandałowym szafie jeszcze w algierskich czasach. Nic nie widział, nic nie czuł poza wszechogarniającym lękiem, który sam na siebie sprowadził. Wbrew zaleceniom rodziców sięgał po płytę ze starym horrorem, za każdym razem nie potrafił oprzeć się pokusie zabronionego filmu. Musiał włożyć ją do odtwarzacza. W rezultacie po powrocie rodzice zawsze znajdowali go skulonego na dnie przepastnej szafy.

Nie wiedział, ile czasu upłynęło. Równie dobrze mogło to być kilka minut lub kilka godzin – miał wrażenie, że mózg płata mu figle, że momentami wyłącza się i przestaje kontrolować upływ czasu.

W końcu – po eonach lub sekundach – poczuł szarpnięcie, jakby coś go złapało i zaczęło ciągnąć. W pierwszym odruchu próbował z tym walczyć, jak ryba wyciągana na brzeg, ale nakazał sobie spokój. Nie mógł pozostać w nicości, każda zmiana będzie zmianą na lepsze.

A przynajmniej taką miał nadzieję.

Zupełnie niespodziewanie nic zamieniło się na coś i zaczął widzieć. Oślepiło go światło, zmrużył oczy i poczuł na policzkach pęd powietrza.

Spadał.

Nieodwołalnie spadał. Opuściło go poczucie odrealnienia i powróciła panika, w każdej chwili może

roztrzaskać się o ziemię i grawitacja zbierze swoje żniwo. Podmuch rozwiął mu włosy, ostatni raz obrócił się w powietrzu i runął na ziemię.

Wylądował na mentykorze, usłyszał pod sobą chrzęst łamanych kości, żeber. Pod plecami poczuł zapadanie się płuc stworzenia. Olbrzymie ciało, na którym wylądował, zlągodziło upadek. Był zdziwiony, że żyje.

W szoku, wciąż leżąc, zaczął się rozglądać dookoła, lecz nie widział nic prócz połyskujących powierzchni pokrytych lapis lazuli i dymnym kryształem. Znajdował się w błękitnej grocie. Zupełnie znikąd pojawiła się w jego polu widzenia drewniana pałka, niczym zamazany cień widoczny przez ułamek sekundy, ale zaraz spotkała się z jego głową i omdlały nic już nie widział.

Pozostawał w tym stanie pomiędzy życiem i śmiercią całkiem długo.

Odzyskał świadomość gwałtownie i boleśnie nieprzyjemnie, z dławiącym uczuciem, że się topi. Parsknął, wydmuchując wodę wciągniętą nosem. Splunął. Próbował podnieść ręce, by rozgarnąć zalewające go fale, ale w tym samym momencie zorientował się, że jest związany. Potrząsnął głową, uwalniając twarz od zlepionych włosów. Zaczął coś widzieć. Siedział na drewnianym krześle, ręce spoczywały przywiązane do podłokietników, czuł sznur wpijający się w szyję. Uniósł głowę, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję.

Woda ściekała z niego na kamienną posadzkę z dopasowanych płyt i chociaż spoiny były niewidoczne, świadcząc o dobrze wykonanej robocie, to podłoga była wyraźnie nierówna. Powiększająca się kałuża spływała w prawą stronę, w kierunku niedawno upuszczonego,

przewróconego cebra. Kątem oka złowił odbicie światła, wysoko pod sufitem maleńkie, zakratowane okienko wpuszczało blask słońca, rozświetlający niewielki fragment celi. Zadrżał. Nawet jeśli było ciepło na zewnątrz, na dnie podziemnego, jak zgadywał, pomieszczenia było zimno, szczególnie w mokrym ubraniu. Powietrze pachniało wilgocią i czymś stęchłym, mulistym. Nie różniło się to od woni, jakiej spodziewałby się w studni, ale wszystko, jak sądził, świadczyło, o tym że został przeniesiony, gdy stracił przytomność po uderzeniu w głowę.

Słyszał szmer głosów dobiegający z tyłu, szerokie oparcie zasłaniało mu widok. Rozmawiali ze sobą dwaj mężczyźni, ale nie rozpoznał języka. Postanowił zwrócić na siebie uwagę.

- Nie wiem, o co chodzi - powiedział tubalnym głosem. - Ale już wystarczy tych czułości. Nie pisałem się na żaden LARP. Rozwiążcie mnie, dajcie się wysuszyć i rozstaniemy się w pokoju.

Zastanawiał się czy powtórzyć swoje słowa po angielsku i francusku, gdy rozległy się kroki i zza krzesła wyłonił się zwałisty mężczyzna ubrany w skórzany kaftan i płócienne spodnie. Jego czarne włosy dawno nie widziały fryzjera, a broda brzytwy.

- Grupa rekonstrukcyjna - jęknął Nor. Próbował zagłuszyć lęk brawurą. - Ej, facet, rozwiąż mnie, wystarczy już tych atrakcji.

Zanim zdążył powtórzyć, jak zamierzał, swoje słowa po francusku, typ zamachnął się i z całej siły dzielił go pięścią w twarz, aż Nora zamroczyło. Przez chwilę był pewien, że znowu zemdleje, ale ból w szczęce był silniejszy.

Drugi głos dobiegający zza pleców Nora wypowiedział kilka słów ostrym tonem i brunet z jękiem

zawodu opuścił podniesioną już pięść. Odpowiedział coś, wyraźnie niezadowolony.

Tym razem Nor prawie nie zarejestrował lekkich kroków, mężczyzna musiał mieć na nogach pantofle o miękkich podeszwach, nie ciężkie bucioro o wysokich cholewkach jak oprawca więzienny Nora. Nie tylko buty różniły ich obu. Z niedowierzaniem Nor przyglądał się wysokiemu, szczupłemu mężczyźnie, ubranemu w wygodne, luźne ubranie z czarnego, połyskującego materiału, który wyglądał na drogi. Jasne, proste włosy miały zaskakujący chłodny odcień, który byłby na miejscu w Finlandii, a nie w Północnej Afryce. Opadały na równie jasną twarz, która mogłaby należeć do albinosa, gdyby nie lodowato-niebieskie oczy. Na czole wytatuowane miał pięć kropek różnej wielkości, układających się w poziomą linię.

- Ładny ink - Nor starał się nadać głosowi swobodny ton. Prawie mu się udało. - Sam nie zrobiłbym sobie nigdy, nie lubię tatuaży, ale u ciebie wygląda wyjątkowo dobrze.

Przez twarz blondyna przemknął wyraz odrazy, znikł tak szybko, że Nor zastanawiał się, czy mu się nie wydawało. Mężczyzna pochylił się nad chłopakiem.

- Próbuję utrzymać ciebie przy życiu - wycodził cicho. - A swoim paplaniem wcale mi tego nie ułatwiasz. Widzisz, Maskin - ruchem głowy wskazał bruneta - bardzo nie lubi tracić swoich zwierząt. Tak się składa, że zamordowałeś jego ulubieńca. A nie jest w dobrym humorze od wczoraj, kiedy mu dwie wyverny uciekły z hodowli. Jeśli mnie zdenerwujesz, uznam, że warto poświęcić twoje nic nie warte życie, żeby poprawić Maskinowi samopoczucie.

Nora aż zatkało ze zdziwienia. Spodziewał się wszystkiego, kolejnych wiader wody, tortur i lania, ale

nie tego, że usłyszysz słowa wypowiedziane po polsku, wyraźnie i bez najmniejszego akcentu.

Mężczyzna wyprostował się.

- Pomiedzy mną i Maskinem istnieje olbrzymia różnica zdań na twój temat. On wolałby widzieć ciebie martwym, ja uważam, że możesz się do czegoś przydać. Teraz będziesz miał czas na zastanowienie się. Porozmawiamy później.

Blondyn podszedł do okutych drzwi. Uderzył pięścią. - Skończyliśmy na dzisiaj. - zawołał.

Zatrzymał się na progu celi i odwrócił.

- Nazywam się Eryk - powiedział na odchodne. - I pamiętaj, albo ja, albo Maskin.

Obaj wyszli, a Nor został mokry i związany w zimnej celi. Spróbował uwolnić ręce, ale węzły trzymały mocno.

- Mogłeś poczekać na moją odpowiedź - krzyknął w stronę zamkniętych drzwi. - Nie trzeba mnie zmiękczać, tylko od razu powiedzieć, do czego mnie potrzebujesz.

Parsknął ze złości i z całej siły uderzył plecami o oparcie. Ciężkie krzesło nawet nie drgnęło.

- Z czego ciebie zrobiono? - powiedział ze złością. - Chyba z drewna cięższego od ołowiu.

Opuścił głowę nisko i próbował przybrać wygodniejszą pozycję, bezskutecznie. Pozostało mu tylko czekać, a zanosilo się na długą noc. Plama słoneczna przewędrowała z podłogi na ścianę, prawie dosięgała sufitu. Światło zbladło, straciło ciepłą barwę dnia.

Musiał drzemać, zupełnie niezauważalne zapaść w sen, bo ocknął się i zorientował, że blask podający przez kraty pochodzi od księżyca i gwiazd. Jednocześnie dobiegło go chrobotanie i brzęk, z jakim przesunął się

rygiel. Dopiero teraz uświadomił sobie, że to ten dźwięk wyrwał go z płytkiego uśpienia. Odwrócił głowę, szykując się na nowe nieprzyjemności.

Do celi weszło dwóch strażników, jeden z nich trzymał w dłoniach tacę z jedzeniem i dzbankiem. Drugi uzbrojony był w pikę, którą poruszał z lekkością świadczącą o sporym doświadczeniu. Nor stwierdził, że nie chce sprawdzać prawidłowości pierwszego wrażenia i zostać nadzianym.

Taca zniknęła gdzieś poza jego polem widzenia, a po chwili nóż przeciął sznur, którym był związany. Zanim się uwolnił od pęt, mężczyźni wyszli z celi.

Podniósł się i rozejrzał po swoim przymusowym lokum. Blaszący nocnik i wyglądający na zaskakująco czysty siennik. Nieufnie usiadł na nim, wyobrażając sobie robactwo jakie musi się gnieździć w podobnych posłaniach. Przez chwilę patrzył nieruchomym wzrokiem w szarą przestrzeń, ale doszedł do wniosku, że nie ma wyboru i trzeba pogodzić się z utratą wygod, uważanych przez mieszkańców pierwszego świata za oczywiste. Pochylił się i powąchał powierzchnię siennika. Ze zdziwieniem wciągnął w nozdrza delikatny zapach kadzidła i ziół, może geranium.

Uspokojony położył się i zlustrował tacę. Gliniany dzbanek i kubek, talerz z ćwiartką niewielkiego bochenka chleba, i coś, co wyglądało na hojny kawałek sera. Dopiero w tej chwili zorientował się, jak bardzo chciało mu się pić. Podparł się na łokciu i sięgnął po naczynie. Nieufnie zerknął do środka dzbanka, pociągnął łyk. Czysta, smaczna woda. Wypił połowę i powstrzymał się przed wypiciem reszty. Rzucił się na jedzenie i uporał się z nim szybko. Dokończył wodę.

